

Eugeniusz Kurzawa

Spis treści (9)

(fragmenty)



Fot. Kazimierz Sobacki

Tylko fragment przytoczę, napisany po mistrzowsku przez H. Krall. „Z wysoką żoną rozszedł się na polecenie lekarzy. – Cierpi pan na SM, stwardnienie rozsiane. Zęby tę straszną chorobę zwalczyć, musi pan wytworzyć w sobie motywację do życia. A cóż może dać mężczyźnie silniejszą wolę do życia niż dzieci, nowa żona i nowy dom? Tak powiedzieli lekarze, więc Rozenfeld musiał się zastosować do ich zaleceń i znaleźć motywację. Znalazł ją w pociągu do Żywca. Miała niebieskie oczy i piętnaście lat mniej niż wysoka żona. (...) Trzy lata później, już w Izraelu, okazało się, że to w ogóle nie było SM, lecz niegroźne skutki zapalenia rdzenia, które przebył w dzieciństwie” („Res Publica” 1987 nr 3, s. 46). Gdy wrócił z rodziną z Izraela, przyjęła ich poprzednia żona.

Ostatnia – jak dotąd – moja z nim przygoda zdarzyła się już w latach 2000., gdy byłem zatrudniony w „Gazecie Lubuskiej”. Może to wypadło na końcówkę jego pracy u prezydenta RP, czyli rok 2001? Olek wypłynął w jakimś miasteczku na Pomorzu (w Żłocińcu? Złotowie?). Jakoś się do niego dodzwoniłem, pogadałiśmy, zapytałem, czy zgodziłby się na spotkanie, ale z wyraźnym celem finalnym: publikacją opowieści o nim w „Gazecie”. Zgodził się. Omówiliśmy logistykę. Wezmę samochód, fotoreportera i zamelduję się w jego miasteczku. Po tygodniu dzwonię z potwierdzeniem. Lecz Aleksander zaczyna swoje charakterystyczne „tańce” (żeby coś ugrać, załatać; nie cierpię tego!). Ze on tego a tego dnia będzie w Gnieźnie? Kutnie? Włocławku? więc gdybym mógł jechać przez Gniezno? Włocławek? to on się dosiadzie i wspólnie dotrzemy do celu. No dobra, niech mu będzie. Jednak do spotkania nie doszło. Na wyprawę nie zgodziła się red. naczelna „Gazety” Iwona Zielińska. Nie wiem, czy zaważył na tym fakt, iż znała Olka wcześniej z Wrocławia? W każdym razie – padło „nie” dla służbowego wyjazdu.

Może miałem jechać prywatnie?

Poza wspomnianą na początku wizytą w „Nadodrze” Rozenfeld miał już wcześniej związki z Ziemią Lubuską, lecz nie znam nikogo, kto by to dokładnie pamiętał. Wiadomo, że pracował w ZSL (Zjednoczone Stronnictwo Ludowe) w Świebodzinie i ożenił się z córką działacza ludowego z tego miasta.

Zielona Góra nie stanowiła więc dla niego ziemi nieznannej i moje pierwsze z nim spotkanie nie było zapewne kwestią przypadku. Potwierdziła to niedawno lektura starych roczników „Nadodrza” подарowanych mi przez prof. Hieronima Szczegółę. Po latach wertuję sobie strony i zagłębiam się w tym, co dawniej pisano. Czytam, czytam i... oto w 1967 roku znajduję wiersz bez tytułu autorstwa Aleksandra Rozenfelda-Bożeńskiego („Nadodrze” 1967 nr 11, s. 8). Drugi człon przyjęty został (chwilowo) ku czci ówczesnej lubej. Co potwierdza tezę, że z kobietami to Olek raczej miał dobrze. A na okrasę życie wyjątkowo barwne i niebanalne.

Aleksander Rozenfeld, ur. 30 czerwca 1941 roku w Tambowie (ZSRR, obecnie Rosja). Poeta, publicysta, działacz społeczny. Przez wiele lat mieszkał i pracował w Lublinie, potem w różnych miastach Polski, ostatnio w Złotowie. W latach 1982-1987 na emigracji w Izraelu, skąd wrócił do kraju. W latach 1996-2001 pracował jako doradca w Kancelarii Prezydenta RP.

Jerzy Leszin-Koperski

Wiem, że powinienem – zgodnie z wolą Jurka – pisać o nim Jerzy Koperski, bo tak pod koniec życia zaczął się przedstawiać (czy raczej wrócił do pierwotnego nazwiska). Cóż, dla mnie i mojego pokolenia Jurek był zawsze Leszinem. Uznawałem go jako Koperskiego wtedy, gdy występował w roli poety, autora książek poetyckich; ale mówimy o latach 70. XX wieku.

A więc Leszin... Toż to cała epopeja. Jak w przypadku wielu innych literackich znajomości, nie pamiętam szczegółów i daty pierwszego spotkania. Podejrzewam, iż poznałem się z Jurkiem w bardzo podobny sposób jak Andrzej K. Waśkiewicz, który opisuje ten moment. Młodzi wówczas panowie rozmawiali telefonicznie na linii Zielona Góra – Warszawa gdzieś w połowie lat 70. Byłem wówczas przewodniczącym Komisji Kultury Zarządu Wojewódzkiego SZSP (Socialistycznego Związku Studentów Polskich), on zaś pracował w centrali SZSP przy ul. Ordynackiej 9 w stolicy. O czym gadaliśmy i dlaczego – nie pamiętam, ale od razu powstało dziwne dla mnie spięcie, pojawiły się Jurkowe pretensje o „nie-wiadomo-co”. Po krótkim czasie spotkałem się z Leszinem oko w oko na korytarzu drugiego piętra gmachu SZSP. Gdy tylko się przedstawiłem, rzucił się na mnie, popłynęły uwagi i żale. O co? Dlaczego? Znów – nie wiem! Należy

stwierdzić (i z czasem przyjąłem to jako normę), że „Jurek tak ma”. I tyle. Chociaż rozdziło to niepotrzebne kwasy – „trzeba było z tym żyć”, mimo iż kolejne kontakty z nim zawsze były najeżone potencjalnymi i faktycznymi zadrażnieniami. Zwykle w miarę szybko mijającymi, gdyż nie był człowiekiem pamiętliwym. Wiadomo jednak, że zwykle „coś” w sobie nosił i musiał to w którymś momencie wyrzucić. „Wyrzut” trafiał nawet w osobę przypadkową, zdziwioną i zaskoczoną niespodziewanym atakiem. O to, że ktoś nie dostarczył stosownej noty, biografii lub pięciu wierszy, a druk tuż-tuż. Że nie powiadomiono pana z drukarni w Szamotułach, iż okładka idzie w kolorze, a papier ma mieć gramaturę 120; wciąż ktoś nie dowoził plakatu na imprezę w klubie, a termin goni; zapomniano zaprośić ważną osobistość do nowych „Hybryd” na ul. Kniewskiego; wreszcie: gdzie jest ta delegacja, którą podpisałem? Należy mniemać, iż wiele z tych spraw zawałał sam Leszin, z kimś się umawiając, a potem coś odwołując czy nie dopilnowując terminu.

Polem aktywności Jurka w czasie, gdy go poznałem, była działalność wydawnicza na rzecz SZSP. Tomiki poezji w serii „Pokolenie, które wstępuje”, kolejne almanachy kultury studenckiej, tomy krytyczno-poetyckie „Za progiem wyboru”, „Wnętrze świata”, pamiętniki „Wobec własnego czasu”, dzieło „Studenckie Grupy i Kluby Poetyckie”, antologia „Poezja Czerwonej Róży”, coroczne podsumowanie pt. „Debiuty poetyckie” (wszystkie z udziałem AKW). W 1978 roku wystartowało czasopismo artystyczne „Integracje” z Leszinem jako naczelnym i Waśkiewiczem jako zastępcą. I na tymże, szerokim jak widać, edytor-skim polu powstawały sytuacje zapalne wywoływane przez Jurka i spięcia z ludźmi: licznymi działaczami studenckimi, kolegami z pracy, współpracownikami. Opowiem o jednej tylko z wielu moich przygód. W latach 70. w drukarni zielonogórskiej przy pl. Lenina Jurek (dokładniej: SZSP) drukował miesięcznik „Kurier Festiwalowy” z okazji VI Festiwalu Kultury Studentów. Podjąłem się zadania odbioru gotowych numerów (chyba 3000 egz.), pakowania ich wg listy adresowej i rozsyłania do wszystkich agend kultury studenckiej w kraju. Straszna robotka! Ale mniejsza o to. Pewnego razu do akademika przychodzi telegram od Leszina. Telegram w tamtym czasie oznaczał powiadomienie o śmierci. Zdenerwowane portierki zerwały mnie z łóżka. Jurek napisał zaś tak: „Natychmiast odeślij listę adresową Kuriera Festiwalowego. Jeśli tego nie zrobisz, to wszelkie kontakty z nami zrywam. W tym ewentualność wydania twego arkuśza”. Zupełnie nie rozumiałem, o co idzie z tą listą. Przecież jeśli ją odeślę, to nie będę mógł rozsyłać „Kurierów”. Tak się żyło z Jurkiem.

Leszin zakonserwował się jako wieczny działacz studencki i chyba do końca życia z tego nie wyrósł. Zaczynał studia na UMK w Toruniu w połowie lat 50., potem przeniósł się do Warszawy, gdzie studiował i został kierownikiem klubu studenckiego „Hybrydy” w pałacyku Kraszewskiego przy Mokotowskiej; tam na stryszku zamieszkał.

cdn.